OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 24 Stycznia / 5 Lutego 1868 roku.

Nr 5. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. 1. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok IV.

KOLONISTA AMERYKAŃSKI.

Któremuż z was niewiadomo, moi czytelnicy, że Amerykanie północni o ile odznaczają się nadzwyczajnemi bogactwy, o tyle z drugiej strony charakterystyczną ich cechą jest przedsiębierczość o jakiej i pojęcia nie mamy, a energja i wytrwałość do ostatnich prawie granic posunięta? Pojmiecie też zape-



Dom Fermera Amerykańskiego.

wne, że nigdyby do takich bogactw nie przyszli, gdyby nie przymioty dopiero co wymienione. Bez pracy bowiem i przedsiębierczości, nie na wiele się przyda największa obfitość płodów krajowych, najprzyjaźniejszy klimat, najżyźniejsza gleba, a nawet najbogatsze kopalnie złota i srebra. Że nie przesadzamy, dosyć jest wskazać inne kraje Ameryki, jak Mexyk i Brazylją, gdzie pomimo niesłychanych bogactw Przyrody, ludność jest stosunkowo uboga a przemysł żaden.

Ludność Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, jakkolwiek złożona przeważnie z Anglików, zawiera jednak w sobie wielu przedstawicieli rozmaitych narodowości: jak Irlandczyków, Niemców, Francuzów, Włochów, Czechów i t. d. Ludność ta jest napływowa i pochodzi z wychodźców, którzy rok rocznie przesiedlają się do Ameryki z Europy. Za dawnych czasów zniewalały ich do tego prześladowania religijne lub polityczne, obecnie zmusza ich jeszcze do wychodztwa i nędza, brak środków do życia w niektórych krajach, gdzie więcej jest mieszkańców aniżeli ich zasoby krajowe wyżywić mogą. Otóż co rok, ten nadmiar ludności powiększej części ubogiej, wsiada na okręty i odpływa do Ameryki, by osiąść w okolicach dzikich, niezaludnionych, porosłych bądź nieprzebytemi lasy, bądź stanowiących nieprzejrzane okiem stepy. Abyście zaś mieli wyobrażenie jakie to massy ludności co rok do Amery-

ki przybywają, dość wam powiedzieć, że od r. 1818 do 1853 z samej tylko Wielkiej Brytanji wyemigrowało 3,463,292 osób; w roku zaś 1853 z Niemiec przybyło do Ameryki 95,285 osób. Są tygodnie, w których do pięciu tysięcy emigrantów rozmaitych narodowości, przybywa do tej obiecanej krainy.

Ziemia w tych rozległych, niezaludnionych jeszcze okolicach oddaje się darmo. Kolonista opłaca tylko rządowi za prawo wpisu nic nie znaczącą stosunkowo kwotę—dziesięć dolarów [1]. Przez tę opłatę staje się legalnym posiadaczem gruntu, na którym osiądzie. Załatwiwszy ten najważniejszy interes, kupuje wóz, kilka wołów zaprzęgowych, jednego przynajmniej konia i z całą swą rodziną puszcza się w nieznane sobie posiadłości w głębi Ameryki leżące. Przedewszystkiem mu chodzi o jak najliczniejszą rodzinę, bo żyjąc na łonie Przyrody, człowiek w rodzinie bogactwo znajduje;— gdzie indziej dzieci uważają się za niepotrzebny ciężar, ale tu są one najwyższą Nieba nagrodą.

W którąkolwiekbądź stronę uda się taki wychodźca, wszędy może być pewnym najlepszego przyjęcia. Przyszli jego sąsiedzi z zapałem go powitają; w kraju bowiem tak mało zaludnionym im większą będzie liczba mieszkańców, tem i pomyślność osady większa. Gdy będzie dwudziestu kolonistów—przeprowadzą się drogi wygodne; gdy stu się zbierze—stanie kolej żelazna. Domy zamienią się w wioskę, wioska w miasto, urządzą się targi, bogactwa spływać poczną. Dla tego właśnie bogaty lub biedny wychodźca z równą serdecznością powitany tu będzie. Są i tu wprawdzie jak we wszystkiem liczne wyjątki, obok dobrego nieraz i złe się spotyka; w ogóle jednak dobry pierwiastek przeważa.

Pierwszą jego czynnością po przybyciu na miejsce, jest zaproszenie sąsiadów. A sąsiedzi w tych stronach mieszkają czasem o kilkadziesiąt mil jeden od drugiego; pomimo to jednak, żaden z nich nie uchyli się od wezwania. Oznaczają dzień, w którym ma się zbudować dom dla nowego obywatela, a za nim dalsi przybędą, bliżsi sąsiedzi pomagają tymczasem nowo przybyłemu ścinać drzewa, obciosywać je z gałęzi i kory, oraz robić wcięcia, tak aby z łatwością jedne z drugiemi złożyć się dały. Wreszcie pewnego rana, zjawiają się wszyscy wezwani. Nowoprzybyły wtajemnicza ich w swoje zasoby, jeżeli może wydaje dla nich ucztę na jaką go stało—jeżeli nie, to i tak się obejdzie. Każdy bowiem z sąsiadów przynosi z sobą rozmaite wiktuały, któremi nieraz przez cały miesiąc potem żywi się rodzina nowo przybyłego.

Gdy się tedy wszyscy zbiorą, robota szybko postępuje. Z belek jedna na drugiej położonych tworzy się dom kwadratowy; szpary zatykają się rodzajem cementu, zrobionego z sieczki słomianej i gliny rozrobionej wodą; dach kryje się deskami dębowemi; okna są to otwory piłą wycięte; drzwi takież same, z tym jeszcze dodatkiem, że się nigdy nie zamykają. Gdy kolonista wychodzi ze swego domu, podpiera tylko drzwi deską, by zwierząt dzikich niedopuścić. Ludzi się wcale nie obawia, bo też nie ma prawie złodziei. A zresztą na cóżby się tu komu to niecne rzemiosło przydało? Podróżny powinien tylko oświadczyć, że łaknie—a nakarmią go, że pragnie—a zostanie napojony, że szuka na noc schronienia—a natychmiast je otrzyma. Ztąd też złodziejstwo jest tu gardłem karane. Dla złodzieja nie służą żadne okoliczności łagodzące [1].

Ale wracajmy do domku kolonisty. Odmienia się on stosownie do klimatu. Wysoki i opatrzony balkonem w okolicach południowych, na północy jest zbudowany daleko mocniej i szczelniej, aby mógł stawić czoło zimnu i wiatrom. Wnętrze z jednej składa się izby. W stosownej zagrodzie mieszczą się zwierzęta domowe, jakkolwiek te ostatnie zwykle zupełnej używają swobody, a utrzymanie ich nic właściciela nie kosztuje.

Ale dom taki lub raczej chata, jest budową pierwotną, sklecona na prędce, li tylko by od słot i zimna chroniła. Gdy kolonista zbierze sobie jakikolwiek fundusik, gdy nadewszystko kilka takich kolonij ugrupuje się w wieś, wówczas i domek kolonisty przybiera daleko wykwintniejszą postać.

Gdy kolonista osiądzie i zbuduje sobie schronienie, ogradza natenczas dokoła domu pewną przestrzeń mocną palisadą. Przestrzeń ta ogrodzona służy do powstrzymania bardzo częstych w tych krajach pożarów łąk stepowych. Przedewszystkiem każdy kolonista stara się o nabycie świń. Pożyteczne to stworzenie ma w Ameryce większy jeszcze użytek niż u nas: wyszukuje bowiem i wyniszcza żmije; od ukąszeń ich chroni je twarda skóra, od jadu—gruba warstwa tłuszczu.

Nie będziemy tu opisywać szczegółowo jakim sposobem kolonista karczuje lasy, jak orze i uprawia te dziewicze grunta, które nigdy pługa nie widziały, dość, że przy krwawej pracy, wstrzemięźliwości i wytrwałości, przez pierwszy rok może się jako tako utrzymać, na drugi zaś rok może już pomyślić o wygodniejszym domku. Domek ten jest obity deskami i składa się z kilku pokoików, kuchni, obszernego poddasza i t. d.

W trzecim roku, kolonista jest już w stanie odłożyć na czarny dzień mniejszą lub większą kwotę pieniędzy. W kilka lat później jest już bogaty.

Przyjrzemy się teraz tworzeniu się wioski lub raczej miasta, bo wiosek takich jak nasze nie ma właściwie w Stanach Zjednoczonych. Posłuchajmy co mówi w tej mierze pewien autor francuzki (*Molespine* w *l'Exposition Universelle de 1867 illustrée).*

„Widziałem przykłady szczególnie szybkiego powstawania tych miast amerykańskich. Byłem jednym z tych, którzy rzucili fundamenta stolicy Kanzasu— *Topeki.* W Topeka była z początku szkoła, kościół, sklep korzenny, drukarnia i... jeden mieszkaniec— wszystkiego pięć domów. Czy zaś jedyny mieszkaniec był żonaty, czy miał dzieci?—nie wiem wcale. Naprzód sprowadzono nauczyciela, potem zbudowano kościół, wreszcie założono dziennik.

„Sposób w jaki się dziennik ów pisał, redagował i drukował, niezmiernie był ciekawy. Miał on jednego redaktora, który też pomagał drukować zecerowi; tę ostatnią czynność pełnił nauczyciel szkółki. Pastor także był zecerem, w czem mu dopomagał czasami kupiec. Słowem, całe miasteczko brało czynny udział w wydawnictwie dziennika. Wkrótce potem przeprowadzono drogi, zbudowano domy i stanęło główne miasto Stanu Kanzas.

[1] Dolar równa się 8 złp. i 23 gr.

[1] Tak karze złodziei sprawiedliwość ludowa, zwana pod nazwą prawa *Lynh.* Podług tego prawa nie tylko złodziejstwo ale oszustwo i szulerstwo, karane są śmiercią przez powieszenie przestępcy na pierwszej lepszej gałęzi.

„Taki więc jest kolejny wzrost grodu: naprzód osiada kolonista, potem nauczyciel szkółki, dalej pastor, wreszcie kupiec, w końcu dziennik. Obywatele przybywają w miarę wzrostu miasta.

„Jakże wielkim jest kraj co pokłada taką wiarę w przyszłość!... W niej to właśnie jest cała potęga Stanów Zjednoczonych."

Oprócz przeszkód zwykłych, napotykanych w każdem nieledwie rolnictwie, kolonista amerykański nieraz zażarte walki staczać musi z Przyrodą, a w niektórych miejscach i z ludźmi. W okolicach więcej ku południowi zbliżonych, straszna powódź nieraz wieloletnią pracę w niwecz obraca, gdzie indziej ogromne klęski sprawia pożar stepów lub lasów dziewiczych, tam zwierz drapieżny porywa bydło lub konie, a gdzie indziej jeszcze dziki Indjanin nieraz mord i pożogę w spokojnych osadach roznosi. Pomimo jednak tych przeciwności, któreby i najodważniejszego łatwo zbiły z tropu, Amerykanin nie przestaje z żelazną wytrwałością naprzód postępować. To też istne cuda w kraju tym częstokroć się dzieją. Biedny emigrant przybywa tu z Europy obszarpany, bez środków do życia, a często nawet bez grosza w kieszeni; jedynym jego majątkiem jest wytrwałość i energja, jedynym kapitałem—wiara w lepszą przyszłość. Upływa kilka lat, a z nędzarza powstaje miljoner, z człowieka nieznanego głośny przedsiębierca, fabrykant lub filantrop. Lecz i tu zdarza się częstokroć pośliznąć, a przyznacie, że upadek tem gorszy im kto stał wyżej. Bogacz znowu staje się nędzarzem. Lecz sądzicie może, że zginie przytłoczony, że nie udźwignie brzemienia losu?—bynajmniej. Upaść—to rzecz każdego człowieka, ale powstać z upadku—to jego najpierwszy obowiązek. To też i nieszczęśliwy bankrut nie traci energji, lecz jak wprawny szermierz czeka wytrwale nadarzonej zręczności, nie przestając pracować i wierzyć; a gdy zręczność ta nadejdzie, oburącz za nią się chwyta i albo zginie, albo panem losu swego zostanie.

Takiemi to powiększej części są koloniści amerykańscy. *Mścisław Kamiński.*

SIEROTA.

POWIEŚĆ

przez

Marję Popławską.

Słońce zwolna chyliło się ku zachodowi, rzucając jeszcze ostatnie, długie promienie świateł. Kilka chmurek purpurowych sunęło zwolna po błękicie niebios, dążąc ku zachodowi odznaczającemu się wspaniałym, złoto-purpurowym pasem.

Ptaszki zaś świergocząc dziękczynną modliwę za prześliczny dzionek, ulatywały do swych gniazdeczek. W mieście nie czuć tego tak dalece, lecz na wsi pod tem szerokiem lazurowem sklepieniem niebios, każda chyląca się trawka, każdy oświecający robaczek, szemrzący nawet strumyczek, głosi chwałę Pana nad Pany.

Temi zapewne myślami i uczuciami przejęte, szły zwolna droga do miasta wiodącą dwie kobiety—bielejący włos jednej, uwydatniał krucze sploty drugiej. Z lekkiego poruszenia ust i kornego wejrzenia, łatwo poznać było że się modliły. Pieśń wieczorna śpiewana przez pastuszka wiodącego krówki brzmiała rozgłośnie, a podmuch lekkiego wiatru, roznosił jej nieuczone ale rzewne dźwięki szeroko, daleko, aż ku lekkim chmurkom płynącym na zachód.

Przeszedłszy spory kawałek drogi w tem skupieniu ducha i uroczystem milczeniu, starsza z kobiet obejrzawszy się powiedziała:

— Może zatrzymamy się Anielciu, coś nie widać naszego Michasia, a nie chciałabym żeby nas daleko odbiegał, zmierzchać się niedługo zacznie, my zaś kawał jeszcze drogi mamy przed sobą.

— On niezawodnie po za tem prześlicznem żytem, niech sobie pobuja jeszcze droga mamo; może już nie prędko wybierzemy się na tak daleki spacer, a młodemu chłopczykowi siedzącemu tak pilnie nad książkami, niezmiernie zdrowa taka gimnastyka na świeżem powietrzu. A i tobie mateczko, musi być lżej oddychać, nieprawdaż? dodała pieszczotliwie Aniela.

— Każdemu świeże powietrze zdrowia dodaje, tylko ty mój aniołku zwykle więcej o drugich aniżeli o sobie myślisz i powiem ci szczerze, gdybym była pewną, że jutro do haftu nie wstaniesz o piątéj jak zwykle ale parę godzin późniéj, tobym nie śpieszyła jeszcze do domu.

— O! mamo kochana, prawdziwie psujesz mnie swoją dobrocią, czy to ja nie młoda? czy Bóg mi zdrowia poskąpił, abym się z godzinami liczyła? po takim nawet spacerze jak dzisiejszy, dodała z uśmiechem całując ręce matki—więcej pracować powinnam, bo więcej sił nabrałam.

„Hop! Hop!" odezwał się po za żytem głos młody, dźwięczny, i ścieżynką na przełaj pędził chłopczyk lat trzynastu, kapelusz okrągły w jednej rece, pęk niezapominek w drugiej trzymając. Twarz uznojona widocznem zmęczeniem, świadczyła o trudzie Michasia.

— Patrz Anielciu, wołał zadyszany oddając siostrze bukiet—wszystko jak lubisz: niezabudki, bławatki, nawet różyczek sporo, będziesz mogła i doskonale i prześlicznie, ustroić cały swój ołtarzyk.

Wijąc ze świeżych bławatków wianeczek, Aniela szła obok matki i jakby z żalem spoglądała ku miastu, którego szczyty kościołów ozłocone promieniami zachodzącego słońca, już ukazywać się zaczęły. W tem na skręcie drogi ukazał się Michaś, który znowu pobiegł za ptaszkiem, jakiś zmieniony i zmięszany. „Co tobie dziecko? spytała troskliwie matka. Ale chłopczyna nic nie odpowiedział, a położywszy palec na ustach, wziął matkę za rękę i poprowadził w bok na łąkę. Uszedłszy tak spory kawałek drogi, obie kobiety zatrzymały się zdumione i rozrzewnione widokiem, który się ich oczom przedstawił.

W bruzdzie na samym prawie brzegu wysokiego żyta, spała dziewczynka najwięcej lat dziesięć mieć mogąca. Złote włoski otaczały miłą nad wyraz twarzyczkę, koralowe usteczka na w pół otwarte dawały widzieć ząbki przedziwnej białości, rączki złożone w krzyżyk spoczywały na piersi dziewczęcia, niewielki koszyczek obok stojący zawierał jak się zdawało parę sztuk bielizny, a na wierzchu spory kawał chleba i krajankę świeżego sera. Tuż obok czarny duży kundys wsparty na dwóch łapach, siedział poważnie i strzegł snu młodej swej pani; raz po raz zaglądając do koszyka, węszył długą mordą wieczerzę znać smakowitą, bo oblizywał się łakomo, jednak wierne psisko nie ruszył nic, poglądał tylko co raz częściej i jak się zdawało co raz

niecierpliwiej ku śpiącej dziewczynce. Za nadejściem małej rodziny zawarczał cicho, a rzucając nie ufne z podełba spojrzenie, stanął gotów do obrony. Dziewczynka przebudzona szelestem otworzyła oczęta, a odgarniając z czoła pukle złocistych włosów, spojrzała zakłopotana po przytomnych. Kruczek zadowolony przystąpił machając ogonem, zwróciwszy pojętne spojrzenie w stronę koszyka. Zrozumiała dziewczynka tę niemą prośbę swego ulubieńca, bo natychmiast zerwała się na nogi, rozłamała chleb, a podając kawał za kawałem, na mój biedny Kruczku, mówiła z żalem głaszcząc pieszczotliwie dużego kundysa, jak też głodnym być musisz; słońce już zachodzi, a ja od południa śpię a śpię, było ci już samemu wziąść się do jedzenia, śpiochom nic się jeść nie daje... masz serek kochaneczku, masz oto drugą połowę za śpiocha" dodała pakując z uśmiechem w ogromną paszczę resztę sera. „A teraz w drogę, szczebiotała dalej gryząc chleb i zabierając manatki,"— widzisz Kruczku—dodała jeszcze zwróciwszy się do psa, przywykła widać dzielić z nim wszelkie wrażenia— widzisz tam... ot niedaleko.. to już Warszawa i chwała Bogu koniec naszej podróży" To mówiąc, dziewczynka zabierała się iść dalej, zapomniawszy o małej rodzinie co usunąwszy się na stronę, przysłuchiwała się jej zdziwiona.

— Jakto, dziecko, sama idziesz do Warszawy? spytała pani Sosnowska, zbliżając się do dziewczynki.

— A sama, proszę pani, wymówiła nieśmiało podnosząc modre oczęta.

— I zdaleka tak idziesz dziecko?

— Z Zegrza, przeszło trzy mile z Warszawy.

— Któż cię tak wysłał, samą jedną, w taką podróż?

— Ciotka co po śmierci babci wzięła mię do siebie, i wysłała z tym oto listem do swej przyjaciółki pani Szczurkowskiej. Mieszka ona na Pradze, drugi dom po lewej stronie za strażą ogniową idąc od Warszawy. Mam jeszcze i drugi list, który babcia za życia napisała do swej siostry, co trzyma sklepik na Browarnej ulicy. W liście do pani Szczurkowskiej jest napisane, aby mnie zaprowadziła i oddała siostrze babci, a tam już mam pozostać.

— A gdzież dziś nocować będziesz?

— Pewno u pani Szczurkowskiej, bo skoro już Warszawę widać—to Praga musi być niedaleko, a do pani Szczurkwoskiej zaraz trafię.

— A gdybyś jej nieznalazła, dziecię? wszak to już niezadługo zmierzchać się zacznie.

— To przenocuję w pierwszym lepszym domku; ja tak całą drogę proszę pani, zajdę do chatki poproszę o nocleg, a jeszcze nigdzie mi nie odmówili, wszędzie dobrzy ludzie, dadzą mleka, chleba i na drogę włożą mi w koszyczek serek, przeżegnają, wypytawszy gdzie i po co idę, a dwa razy to mnie nawet podwieźli. Prawda że zawsze mówię pobożnie pacierz i „Kto się w opiekę". Babcia też pewnie modli się za mnie u Boga, mówiło dziecię z głęboką wiarą—to też Bóg dobry tak mnie szczęśliwie prowadzi, że choć z płaczem i strachem wychodziłam z domu, tobym teraz zaszła na koniec świata.

— A nie wolałabyś przenocować u nas, tobyśmy jutro rano poszły na ulicę Browarną i podług adresu wyszukały siostry twojej babci, Pani Szczurkowskiej zaś szukać wcale niepotrzebujemy. Wszak zgadzasz się? mówiła dobra kobieta tuląc do siebie rezolutną dziewczynkę.

— O! dobra pani, czy się zgadzam? mnie się zdaje że Bóg zsyła mi pomoc, bo on jest ojcem i opiekunem sierot, tak zawsze mówiła babcia, a może też co najpewniej, dodała zamyślając się dziewczynka— droga babcia uprosiła u Matki Boskiej, by mi dał przewodnika w Warszawie, bo co prawda, tego wielkiego miasta to się trochę lękałam... tam podobno bardzo łatwo zabłąkać się można...

— Nie zabłąkasz się, drogie dziecko, bo cię samą nie puścimy, mówiła z zajęciem Aniela—patrząc na powabną twarzyczkę dziewczęcia, gdy tymczasem Michaś cichaczem przysunąwszy się do matki serdecznie ręce jej całował, jakby na podziękowanie, że zajęła się biedną dziewczynką.

Nasza mała gromadka przyśpieszyła kroku. Michaś wziął koszyczek od dziewczynki, pragnąc się jej w czemkolwiek przysłużyć. Kundys z początku niedowierzający, mruczał—widząc jednak obejście się przyzwoite nieznajomych, a swoją młodą panią szczebioczącą wesoło, zmiarkował że znaleźli przyjaciół i obwąchawszy wszystkich z kolei, najprędzej wszedł w stosunki z Michasiem.

— Jakże ci imię, dziecie kochane? spytała pani Sosnowska— czując co raz większe zajęcie się roztropną dziewczynką i rosnące co chwila dla niej macierzeńskie uczucia.

— Imię mam Helena, a nazwisko Pierzchalska.

— Zapewne rodziców nie masz? kiedy jak to miarkuję, chowałaś się u babci.

— Jestem sierotą i to dwa razy sierotą, bo po rodzicach i po babci; mama umarła niedługo po mojem urodzeniu, mówiła dziewczynka i cień smutku powlókł przed chwilą ożywioną twarzyczkę. ojciec kiedy miałam półtora roku przywiózł mnie do babci, podobno po śmierci mamy, ciągle się martwił i całe gospodarstwo się zmarnowało; powiadali, że ojciec bardzo mnie kochał, bo podobną jestem do nieboszki mamy, to też strasznie płakał kiedy mnie zostawiał u babci, a nie widzieliśmy go już nigdy, bo wkrótce potem umarł w Warszawie.

— A więcej rodzeństwa nie miałaś?

— Mam jeszcze brata dużo starszego odemnie, może da Bóg znajdę go w Warszawie, nie znam go jeszcze... ale w takiem wielkiem mieście, to się pewnie zejdziemy, jeżeli tylko powrócił z zagranicy.

— Jakto? czy brat nie dowiaduje się o ciebie, choć listownie?

— Tego nie wiem i babcia też sama nie wiedziała; pamiętam tylko jak nie raz mówiła że, może się dowiadywał do Wyszkowa gdzie rodzice moi mieszkali, ale mnie z babcią znaleść było trudno, bo wuj jest gorzelanym i często się przeprowadza, a babcia zawsze mieszkała przy wujaszku. Wiemy tylko od ojca, że Kazio bardzo dobrze się uczył, a po skończeniu szkół był guwernerem u bardzo bogatych państwa i pojechał z niemi za granicę.

Tak rozmawiając, doszli do ulicy Bednarskiej. Sierotka nadziwić się Warszawie nie mogła. Wysokie domy, gwar, hurkot, ludzi mnóstwo, wszystko to nad wyraz ją zajmowało; rozglądała się na wszystkie strony, nie mogąc zdać sobie sprawy z ruchu gorączkowego jaki zwykle panuje w większych miastach. W domu dopiero opamiętała się dziewczynka.

— O! mój Boże, powiedziała całując ręce pani

Sosnowskiej—jakiż to Bóg dobry że mi zesłał panią, jabym zginęła w takiej chmarze ludzi, anibym żadnej rady sobie dać nie umiała.

— Nie troszcz że się więc o nic, drogie dziecię, chodź zjedz z nami co Bóg dał, a jutro pomyślemy co nam zrobić wypadnie.

I niedługo w skromnych dwóch pokoikach przy ulicy Tamka zgaszono światło, bo mieszkańcy jej udali się na spoczynek.

Pani Sosnowska, owdowiała od lat dziesięciu. Zostawszy z dwojgiem dzieci i bardzo małą emeryturką, wszystkich sił woli użyć musiała aby się jako tako utrzymać. Edukacja dwunastoletniej Anielci przerwaną została, bo niebyło na nią funduszu, ostatnie zasoby na długotrwałą a ciężką chorobę męża wyczerpane zostały, i biedne dziewczę zaniechać musiało książek dla haftu i szycia, aby matce jak najśpieszniej przyjść w pomoc. Nie długo czekała na nią matka; dobra córka wprędce pojęła, że obowiązkiem jej jest o ile możności wspierać stargane siły i zdrowie matki swoją pracą. Bóg pobłogosławił dobrym chęciom: robótki jej wykończane starannie zaczęły być poszukiwane, a w lat kilka, mogła sobie z chlubą powiedzieć, że ona swoją własną pracą z niewielką tylko matki pomocą, utrzymuje całą swoją rodzinę. Niebyło w prawdzie dostatków w ubogim domku, ale zdrowe życie, widne i czyste pokoiki, porządne ciepłe ubranie, a nawet czasem kosztowniejszej przyjemności jak przechadzki całodziennej za miasto, pozwolić sobie mogli. Jednakowóż od lat dwóch cokolwiek ciężej być zaczynało szlachetnej panience. Michasia do szkół oddać trzeba było, a chociaż zdołano umieścić go bezpłatnie, to wszelako mundurek i potrzeby szkolne, większych wymagały nakładów. Aniela podwoiła usiłowań i pracy; nie raz po dwunastej godzinie w nocy światło w jej pokoiku wskazywało, że dziewczę schylone nad pracą, odmawia sobie koniecznego spoczynku.

Trzeba jednak przyznać, że Michaś czuł głęboko poświęcenie siostry; gorąco prosił Boga, by mógł co najprędzej pracować na siebie, uczył się pilnie, czekając niecierpliwie przejścia do klassy trzeciej, gdzie spodziewał się dostać korrepetycję, a teraz nawet za kilka złotych na miesiąc uczył czytać i pisać jakiegoś chłopczynę. Niedostatek i przykre koleje życia, wpływają na rozwinięcia władz duszy i umysłu, to też i Michaś nad wiek dojrzały, poprzysiągł w duszy sowicie odpłacić ten dług serca ukochanej siostrze, chociaż anielskie to dziewcze nieczuło wcale poświęcenia swego. Cała jej przyszłość, wszystkie marzenia, zasadzały się na tem, aby wychowawszy Michasia na uczciwego i użytecznego człowieka, zostawić go na podporę starości matki, —a samej wstąpić do zakonu sióstr miłosierdzia i poświęcić się pielęgnowaniu chorych.

Do takiej to zacnej rodziny, dostała się nasza sierotka. Nazajutrz jak powiedziała pani Sosnowska, zostawiwszy Anielcię nad jakąś pilną robótką, udała się z Helenką na Browarną ulicę. Z ławością odszukały sklepik staruszki lecz jej samej nie znalazły, a co smutniejsze powiedziano im, że od dwóch miesięcy wspomniona staruszka umarła w szpitalu. Nie poprzestając na tem, poszły na Pragę do pani Szczurkowskiej, która potwierdziła powyższe wiadomości dodając, że bywała u swej przyjaciołki w szpitalu Świętego Rocha, rzeczy zaś i trochę pozostałych po nieboszce pieniędzy poszło w części na pogrzeb, a resztę zabrała jakaś krewna. Nie było wątpliwości, że sierotka nasza jeszcze raz została sierotą, ale nie omyliło się dziecię ufając w dobroci i miłosierdziu Boskiem.

Pani Sosnowska wspólnie z Anielą widziały w spotkaniu sierotki zrządzenie i wolę Opatrzności, nie namyślając się też wiele, przygarnęły ją do siebie całem sercem. Napisano do krewnych Helenki. Ludzie ci, których serca łatwo poznać można po wyprawieniu samego dziecka w kilkomilową drogę, odesłali niebawem przez okazję bardzo lichą wyprawę dziewczęcia, nie siląc się nawet ukryć radości z pozbycia się raz na zawsze opieki nad sierotą. Tak więc Helenka na samej sobie doświadczyła wielkiej prawdy słów, które wyrzekła: że „Bóg jest ojcem i opiekunem sierot,'' to też zastanawiając się w swem dziecięcym ale nad wiek wyrobionym rozsądku, jak cudownemi drogami Bóg przyprowadził ją do zacnej i bogobojnej rodziny, wiara i wdzięczność ku Stwórcy w sercu dobrego dziecka wzrastała niemal z każdą chwilą. Starała się też Helenka na każdym kroku i przy każdej sposobności, okazać opiekunkom swoim jak czuje całą wielkość ich dobrodziejstwa. Wyręczała matkę w pracy około gospodarstwa; starszej siostrze jak nazywała Anielcię, pomagała ile mogła i umiała; garderobę Michasia wzięła pod swój wyłączny dozór. Niezrównana słodycz jej charakteru i wrodzona wesołość, umilała niekiedy ciężkie życie nasze rodzinie.

Nad Michasiem Helenka niespostrzeżenie nabrała pewnej przewagi i wpływu; nieraz zdarzyło się, że rady i przestrogi matki na żywym i nieoględnym cokolwiek chłopcu mniej robiły wrażenia, niż jedno spojrzenie lub wyraz niechęci, na zwykle pogodnej twarzyczce sierotki.

Minęło lato i jesień, nastała zima, a z nią potrzeb tysiące dla powiększonej rodziny, na którą zawsze dwoje tylko rąk i oczu pracowało: matka bowiem co raz bardziej zapadała na zdrowiu. Na domiar złego, drożyzna się wzmagała i już przed nowym rokiem Aniela siedziała nie raz po całych nocach, by zarobić na drzewo lub posilniejsze dla matki pożywienie. Lica jej pobladły, oczy poczerwieniały, pomimo jednak całej pracy dziewczęcia, niedostatek co raz więcej czuć się dawał w ubogim domku. Pani Sosnowska patrząc na niknące z pracy ukochane dziecię, przezwyciężyła wrodzoną a może i zbyteczną dumę i napisała do ciotecznego brata bogatego kapitalisty w Lublinie, o pomoc dla swych dzieci, przedstawiając smutne swe położenie. Czekano na odpowiedź, a tymczasem zima srożyła się i począwszy od pierwszych dni Stycznia, mrozy bardzo silne ciągle trzymały. Jakoś w połowie Lutego, Michaś nie mając dostatecznie ciepłego ubrania, zaziębił się i dostał zapalenia mózgu. Położenie biednej rodziny stawało się coraz okropniejszem. Pani Sosnowska w obec nieszczęścia, jak się to często zdarza, z wątłej i słabowitej stała się niemal zdrową, dzień i noc nieodstępując chorego dziecka rzadko udawała się na spoczynek. *(d. c. n.)*

ZAWIERUCHA ZIMOWA.

W Kijowskiej gub. w porze zimowej zdarzają się burze, zawieje, zawierzuchy — rozmaicie je nazywają, które nie bez słuszności porównaćby można do strasznych huraganów pustynnych; tak samo groźne i niszczące jak tamte, w tem

się tylko różnią, że ich brońchłód i śnieg, gdy tamtych skwar i piasek. Szczęściem, okolica zamieszkała daje środki schronienia mieszkańcom i podróżnym przed ich wściekłością: gęsto rozsypane po całej przestrzeni karczmy, wsie z miasteczka, ochronić tylko mogą od niechybnej zguby iachwyconych w drodze podróżnych, jeżeli im się uda dotrzeć do jakiego bądź mieszkania—inaczej wysileni długiem pasowaniem się, przejęci do kości chłodem, giną w zaspach śniegowych. Zwyczajnie przy kilkunasto-stopniowym mrozie i silnym wietrze północnym, pada śnieg gęsty w ciągu dwóch-trzech dób nieustannie; wiatr posuwa suchy i lekki śnieg, podnosi go, miesza ze spadającym i zamąca powietrze tak, że cała przestrzeń pomiędzy chmurami zawisłemi nad okolicą a ziemią, jest jakby jednym ciągiem białego, wzburzonego do dna morza—o dziesięć stóp niemożna dojrzeć przedmiotu; drogi, rowy, jary zasypane; kierować się nie ma sposobu i kiedy podróżny brodząc po pas w śniegu zapadnie w parów lub jar, zwykle już nie wydostaje się ztamtąd, gdyż na oślep walcząc z tą zimną lawą, cudem chyba wydobędzie się na miejsce bezpieczniejsze. Las, sterty siana lub zboża stawiane na polu, są nie dla jednego deską ocalenia. Doświadczony podróżny raz dostawszy się do nich, już pozostaje, radząc sobie rozmaicie.

Lat kilkanaście temu, możny właściciel A. zachwycony w drodze przez taką zawierzuchę, po długiem i niepewnem błądzeniu po stepie, dostał się nareszcie do kilku stert siana; chłód był wielki i ludzie z nim będący wyraźnie kostnieli; dla ogrzania się więc, palił przez noc całą sterty siana jedną po drugiej i tylko w taki sposób mógł się ocalić. I radzić sobie nie ma podobieństwa. Zachwycony podróżny przez zawieruchę, nie powinien się zatrzymywać ani się kłaść dla wypocznienia, bo chęć do snu która w takich razach nieprzeparcie napada podróżnego, jest zdradliwą—jest to oznaką, że wysilone członki już chłód przejmuje i skłania do snu; kto w tym stanie zasypia — już się nie obudzi. Ci co się wyrwali od takiej śmierci, opowiadają że po utracie sił, opanowuje głęboka obojętność i niczem nieprzeparta chęć do snu. Wyraźnie dusza dręczona ciągłym niepokojem w obec grożącego niebezpieczeństwa, nuży się wreszcie i wpada w pewien rodzaj obojętności.

Wplątawszy się w jary, po całonocnem pasowaniu—opowiadał mi młody i silny wieśniak, — wydostałem się wreszcie na górę, ale nie miałem już siły o krok postąpić dalej, usiadłem więc pod jakimś pniem starym i oparłem się o ten; obojętność mną owładła i sen strasznie morzył, ale w tym stanie było mi lekko i dobrze, wiedziałem jednakże z opowiadania starych ludzi, że to już śmierć przychodzi; walczyłem jeszcze z powiekami, które jakby ołowiane zsuwały mi się bezustannie na oczy. Przyszła mi myśl o wilkach co napadają nieraz podróżnych, ale się i tego nie a nic nie trwożyłem. W tym czasie zawierzucha ustała, wiatr przycichł i na raz blask mnie oblał: było to świtanie; wypadkiem siedziałem twarzą zwrócony na wschód. Chciałem się przeżegnać, ale chroniąc ręce od chłodu włożyłem je w rękawy grzejąc jedną o drugą i trzymając tak na piersiach: poprobowałem i nie mogłem rąk rozjąć; być może, że do tego przyczyniał się jeszcze i lód powstały na całem mojem odzieniu ze śniegu, któren naprzód topniał a potem ściął się od mrozu. Chciałem powstać, ale nogi moje odmówiły mi posłuszeństwa. Nie wiem, czy to że wiatr przestał już dąć i przenikać mię przez odzienie, czy wrażenie przyjaznego dla człowieka blasku dziennego, poczęły działać orzeźwiająco na myśl moją, bo wyraźniej uczułem mój stan i chęć wydobycia się z niebezpieczeństwa: poznałem gdzie jestem i zacząłem przemyśliwać nad sposobami ocalenia. Góra na której siedziałem była stroma, a wiatr z niej pozmiatał śnieg zupełnie, kilkanaście sążni było nagłej pochyłości; zbieram więc wszystkie siły i całym korpusem rzucam się na dół. Rekoszetując po zmarzłej ziemi, otrzymałem wprawdzie parę guzów, ale przez ten ruch nagły i nierówny, członki mi zwolniały; zatrzymawszy się w dole, powstałem, rozjąłem i wyciągnąłem ręce. Pomodliłem się i zacząłem znów wdzierać się na górę; z trudnością wydostałem się na nią, a te usiłowania widać rozgrzały mi krew stygnącą. Zeszło słońce. Do domu miałem jeszcze dobrych trzy wiorsty: biłem się długo po zaspach śniegowych i z ostatkiem sił dobiłem się wreszcie. Dano znać do dworu, zaraz przybył pan, a ponieważ nie miałem żadnego odmrożenia, więc kazał mnie tylko suchem suknem wytrzeć i dać parę szklanek gorącego napoju. Po tym wypadku leżałem parę tygodni w gorączce.

Jedyną wskazówką kierowania się w czasie zawieruchy jest wiatr; podróżny znając położenie miejsca, może się tylko przez wiatr kierować siako-tako, jeżeli to miał na uwadze i oznaczył mniej więcej wyraźnie w myśli dwa punkta: skąd wyszedł i dokąd dąży—i kierunek wiatru względem tych punktów; dodać należy, że jeżeli w czasie jego podróży wiatr się zmieni, w takim razie rachunek stać się może jeszcze zgubniejszym. Zabłąkany podróżny skutkiem dręczącego go niepokoju, zwykle traci przytomność umysłu i tak się zbija, że natknąwszy się na wieś swoją, nie poznaje jej; gospodarz przybiwszy się do własnego obejścia, nie wie gdzie jest, tak mu wszystko zda się odmienne i nieznane;—lud przypisuje to psotom szatana. Głos ludzki, pianie koguta, psa szczekanie, jakże mile odzywa się w duszy zbłąkanego podróżnego, jak łakomem uchem chwyta te odgłosy i wydobywa sił ostatnich, aby dążyć w tym kierunku zkąd zasłyszał jakiś głos żywy.

Dnia 5 Marca r. z. byłem w mieście oddalonem od mego domu o czterdzieści wiorst; nocowałem w zajezdnym domu i rano zbudziwszy się, postrzegłem przez okno że gęsty śnieg padał, wiatr dął północny, więc można było oczekiwać zawieruchy. W mieście miałem do załatwienia kilka interessów, które zaledwie o 12 godzinie skończyłem. O pierwszej wyruszyłem. W polu była już dobra zawieja. Jechałem lekkiemi sankami i dobrą parą koni; furman mój i lokaj, chłopcy młodzi i dobrze odziani. Srożyła się coraz bardziej zawieja: z dwóch więc dróg prowadzących do mego domu, wybrałem dłuższą dla tego że była więcej uczęszczaną, krótsze zaś miała przesmyki ode wsi do wsi, wtenczas gdy bliższa droga ma dziesięć wiorst stepu czystego. Ujechawszy mil parę, zatrzymałem się przy karczmie na kwadrans czasu, żeby konie wytchnęły, bo droga zaczynała już być kopną. Karczma nabita była podróżnymi co tu już rozlokowali się na nocleg. Zapomniałem powiedzieć, że to był dzień niedzielny i jarmarkowy w tem właśnie mieście, z którego wyjechałem. W karczmie zbliżył się do mnie Żydek i zapytał czy ja jadę dalej?

— Jadę, odpowiedziałem.

— To i my za panem pojedziemy.

— Dobrze, ale ja jadę szybko, więc trzymajcie się, bo zgubić się możecie, a wtenczas na nic wam się nie przydam; wiecie jednakże co—dodałem, ruszajcie zaraz, po kwadransie dopędzę was.

— Usłuchali i pojechali.

Dopędziłem ich o trzy wiorsty, a wyminąwszy kazałem się ozierać czy się trzymają. Po półgodzinnej jeździe wyraźnie konie żydowskie zaczęły ustawać, ponieważ zaś niedaleko już była karczma umyślnie więc zwolniłem jazdę, a postrzegłszy karczmę znów pomknąłem, zostawując Żydom do decyzji czy chcą pozostać w karczmie czy dalej ciągnąć. Zawierucha się wzmagała, droga była zupełnie zasypaną. Dobrze się już miało ku wieczorowi, kiedy dotarłem do wsi odległej od mego domu tylko o wiorst ośm. O wiorst cztery jest jeszcze jedna wioska, ale właśnie te cztery wiorsty były najtrudniejsze do przebycia: pole równe i gładkie, droga zasypana, śnieg bił w oczy, a wiatr podno-

sił bałwany śniegu. Wiatr miałem z lewej strony. Po półgodzinnej jeździe, kiedy myślałem że już powinienem dopędzać do wsi, spostrzegłam nagle jadącego wołmi wieśniaka, któremu wprost przecinam linję tak jak on przecinał moją.

— Skąd jedziesz? zapytałem.

— Z Łazanówki.

— I zapewne do Serduckówki?

— A tak.

— No, to trzymajże się bracie mego śladu póki nie zastygł, a dojedziesz;—sam zaś ruszyłem świeżym jego śladem.

Wyraźnie, wiatr i tumany śniegu wywierały na mnie tak samo jak na jadącego przeciw mnie wieśniaka wpływ taki, jaki wywierają bałwany morskie na statek, zbijając go nieustannie z linji prostej i ta to była przyczyna, że w miejscu spotkania się z wieśniakiem na linji prostej, spotkaliśmy się na przecięciu dwóch linij roschodzących się w dwa przeciwne kierunki. Czas jakiś, choć niezbyt długi trzymałem się śladu, a kiedy go już niestało dążyłem w jednym kierunku i szczęśliwie wjechałem w wiejski kołowrot. Przebywszy wieś, już mi pozostało tylko cztery wiorsty; część drogi była taką że nie mógłem zbłądzić, ale ta część była niebezpieczną; tymczasem zaczęło się sciemniać i konie miały śniegu wyżej kolan.

— Coś, panie, gniady ustaje, rzekł furman.

— A, nie ma co, trza go zaochocić biczem, bo tu o nas więcej chodzi jak o gniadego, pofolgujemy mu inną razą.

— I biedny gniady dostawszy biczem, posunął jak workiem po śniegu.

Wjechałem nakoniec na swoje pola okopane rowami, tu już nie było niebezpieczeństwa, bo gdyby konie zmyliły to zapadną w rów, tylko że pomiędzy rowami więcej było śniegu. Zmrokiem, z wielkim wysiłkiem koni, przyjechałem do domu literalnie zarzucony śniegiem. Otoczyła mnie dziatwa.

— A, ojcze, czyż można tak się narażać?

— Doskonale zrobiłem, bo jestem z wami, inaczej nie tak by to prędko nastąpić mogło—odpowiadam, bo jeżeli taka zawieja potrwa choćby tylko przez noc, to i za trzy dni nikt nie będzie w stanie wyruszyć. Zawierucha trwała dłużej, bo przez półtora doby jeszcze z nadzwyczajną siłą.

Smutne teraz chodzą wieści: tam zmarzło szesnastu ludzi, ówdzie siedmiu, indziej dwóch, jeden. I daj Boże żeby się przynajmniej na tem skończyło, bo zwyczajnie kiedy taka zawierucha przypadnie, to jej ofiary dadzą sią dokładnie policzyć dopiero wtenczas, kiedy wiosenne ciepło stopni nasypy śniegu.

Seweryn Metelicki.

LEW.

Między rozmaitemi zwierzętami przebywającemi tu i owdzie na ziemi, jednym z najdrapieżniejszych rodzajów tychże jest kot. Lew zaś, ów przedmiot tak licznych opisów i wypraw łowieckich, jest właśnie jednym z największych i najgłówniejszych gatunków kota. Znany w dawniejszych czasach prawie wszędzie, dziś lew znajduje się tylko w Afryce od puszczy Sachary zacząwszy, aż do przylądka Dobrej Nadziei, tudzież w niektórych krajach Azji, jak w Arabji i Indjach. Długość jego do 8 lub nawet 9 stóp dochodzi, a wysokość do 3, ogon zaś lwa 4 stopy długi kończy się szeroką kitą, brunatno-żółtego koloru. Prócz tego, szyje samców pokrywa gęsta i obfita grzywa.

Lew jest zwierzęciem, o którem prawie najwięcej zawsze mówią i którego najczęściej malują. Widać go często na pomnikach, na obrazach i w książkach. Jak pospolitemi były lwy w czasach dawniejszych, można się szczególnej przekonać z podań starożytnych pisarzy o liczbie lwów, okazywanych w Rzymie podczas znaczniejszych uroczystości. Gdy np. Pompejusz teatr swój poświęcał, 600 lwów naraz wprowadził na scenę. Cezar zaś, w czasie podobnej uroczystości 400 lwów wedle podania okazał ludowi i t. p. —słowem, od niepamiętnych czasów lew był godłem odwagi i wspaniałomyślności, i ztąd niektórzy i dziś nawet widzą w nim wzory uczuć szlachetnych. Atoli mniemania podobne nie są właściwe. Człowiek bowiem tylko, jako korona wszelkiego stworzenia, otrzymał w udziale od Stwórcy ów wyższy rozum i głos wewnętrzny zawsze mu przypominający, aby usiłował stawać się coraz lepszym—ów głos, który mu daje siłę do pokonywania różnych złych jego skłonności.

Gdyby konieczność życia w społeczeństwie nie była ułagodziła i nie wykształciła człowieka, gdyby chrześcijaństwo nie było uczynilo szlachetniejszemi jego obyczajów, to zapewne, ż morderstwa i łupy byłyby jedynemi środkami dla człowieka do zadosyć uczynienia swym potrzebom i żądzom. Atoli dzięki Bogu inaczej się dzieje, a przynajmniej inaczej dziać się powinno. Inny bowiem, szlachetniejszy jest cel życia człowieka na ziemi. Lew zaś podonie jak i inne zwierzęta, nie jest przeniknione tą boską ideą, której właśnie winniśmy nasze pierwszeństwo na ziemi, lecz owszem żyjąc prawie zawsze samotnie, lew takim ciągle pozostaje jakim został stworzony, podlegając jedynie tylko prawom, dla wszystkich podobnych istot przez Opatrzność określonym.

Ciągłe np. trzymanie głowy do góry, co niektórzy wspaniałością nazywają, pochodzi u lwa jedynie z szerokości grzywy około szyi, czego wyraźnem dowodem jest lwica, która nie mając grzywy trzyma prawie zawsze głowę tak, jak i inne drapieżne (oprócz hyjeny) zwierzęta, t. j. prawie na równi z grzbietem; podobnież noszą głowę i lwiątka, dopóki nie dostaną grzywy. Chód lwa poważny, wzrok bystry i przenikliwy były powodem, że nazywają go zwykle w bajkach królem zwierząt [1]). Nadzwyczajna zaś jego siła, dziwnie łączy się z ogromną zwinnością. Zęby ma tak mocne i ostre, że z łatwością może niemi rozdrabniać najtwardsze nawet kości, z których skórę i mięso zlizuje długim językiem. Oczy jego podobne do kocich, iskrzą się w nocy i dozwalają mu nawet w ciemności dokładnie rozpoznawać przedmioty. Lwy śpią zwykle mało i łatwo się przebudzają. Zobaczywszy pewną zdobycz, lew rzuca się z ukrycia na nią gwałtownie, rozrywa ogromnemi pazurami i zębami, przyczem trzęsie swą gęstą grzywą i macha z wielką siłą ogonem. Głównym pokarmem lwów jest mięso, którego 15 funtów— są w stanie zjeść dziennie. Najbardziej zaś im smakuje mięso młodych zwierząt, a szczególniej wielbłądów i młodych słoniów, które nie mogą się im jeszcze oprzeć. Nosorożce tylko, tygrysy i stare słonie, nie boją się lwa—on zaś tylko się lęka żmji.

Im klimat w którym lwy żyją jest cieplejszy, tem i lwy bywają silniejsze i odważniejsze. Dopóki młode lwy żyją w stepach i pustyniach, ale skoro zaczną się już starzeć i nie są tak zdolne jak przedtem do łowienia dzikich zwierząt, wtedy przybliżają się nawet i do miejsc zamieszkałych i stają się bardzo niebezpieczne (zwłaszcza też gdy są rozgniewane) tak dla ludzi, jak i dla domowego bydła. Ryczenie lwa mówi Buffon jest tak okropne, że połączone z echem pustyni, równa się grzmotom. Ryk ten przeciągły jest głosem zwyczajnym lwa, gdyż w gniewie wydaje on raczej wark ostry i przerywany. Samica zaś słabsze niż sa-

[1]) Wspominają w różnych opisach o małym piesku, który długo razem ze lwem żył w klatce i ztąd wychwalano wielką wspaniałomyślność tego zwierza, iż tak długo zdobycz swą przy życiu zachował. Atoli z drugiej strony nie trzeba zapominać, że lew dobrze był wtedy karmiony; w przeciwnym zaś razie, w krótceby zapewne biedny piesek rozstał się ze swoim strasznym towarzyszem.

miec lecz prawie ciągłe karkanie wydaje, i jest od niego straszniejszem zwierzęciem, a zwłaszcza też gdy karmi młode. Polują na lwy w rozmaity sposób; w każdym zaś razie polowanie to, jak trafnie mówi Rouviére, czyni podobne wrażenie jak burza na morzu. Każdy pragnie choć raz być tego świadkiem, lecz później długo się namyśla, zanim będzie się chciał na powtórne niebezpieczeństwo narazić. Zwykle polują na lwy w kilku lub kilkunastu myśliwych: ustawiwszy się w podłużnym szeregu, jeden za drugim dla większego bezpieczeństwa, lub też z przyuczonemi do tego psami, albo najczęściej przy pomocy słoniów. Słusznie jednak twierdzi kapitan Messun, znakomity podróżnik, że badaczowi Afryki koniecznie są potrzebne dwa główne przymioty, t. j. cierpliwość wielbłąda i odwaga lwa—i rzeczywiście nie może być inaczej w pośród tylu rozmaitych przygód i niebezpieczeństw, na jakie podróżny w tamtych stronach się naraża. [1])

Kafrowie polują na lwy w ten sposób, że ustawiwszy się nad brzegiem przepaści, kładą na ziemi kawał jakiegokolwiek mięsa zwykle z padłego zwierzęcia, a skoro tylko posłyszą czy to mruczenie tygrysa, czy to wycie hyjeny lub ryk lwa, zaraz czepiają się wystających kończyn jakiej stromej skały i poruszają za pomocą sznura lub długiej tyki, umyślnie w tym celu zrobioną lalkę, od której zaledwie o 3 lub 4 sążnie oddaleni, czekają rezultatu wyprawy. Dziki zwierz zobaczywszy przyrządzony przysmak, rzuca się na ową lalkę która niby mu broni łupu, lecz nagle sam wpada w głąb' przepaści, gdzie go inni zaczajeni Kafrowie do reszty dobijają.



Lew.

Lew pomimo swej srogości, daje się jednak ułaskawiać a niekiedy i przyzwyczaja się do ludzi, szczególniej gdy jest młodo schwytany i karmiony razem z domowemi zwierzętami. Liczne usiłowania w celu oswojenia lwów nieraz bardzo się powodziły. W starożytności np. Marek Antonijusz ukazywał się często ludowi Rzymskiemu na wozie przez lwy ciągnionym, a w nowych zaś czasach głównie odznaczył się pod tym względem pewien francuz Martin, zwany pogromcą lwów i wielu innych.

Powszechnie odróżniają cztery gatunki lwów t. j. 1) Lew berberyjski, który jest największy ze wszystkich gatunków, ciemno-brunatno-żółtego koloru z długą ciemniejszą jeszcze grzywą. 2) Lew senegalski, koloru żółtego z takąż grzywą. 3) Lew perski lub azjatycki, koloru jasnego, z długą, ciemno-brunatną lecz nie tak gęstą jak poprzednie gatunki grzywą i 4) Lew bezgrzywny, mniejszy od poprsedzających, a krótkim opatrzonym na końcu małą kitą ogonem.

Kazimierz Mejer.

[1]) Znakomity Anderson, między wielu innymi uczonymi podróżnikami, szczególniej przebywał i badał wnętrze Afryki. Wyjątek z jego opisów podróży, pierwszy raz był ogłoszony w Londynie 1856 r.—zajmujący ten opis, uzupełnia ciekawe opowiadania o wschodniej stronie Afryki.

ROPUCHA.

(Bajka).

,,Chodź tu, patrz, jak ogromna na drodze ropucha!"
Woła Janek Sylwuka wioskowego zucha:
,,Hej do kijów co żywo! wraz jej łaźnią sprawim,
,,Dręcząc ją, męcząc, bijąc, gracko się zabawim."
Aż w tem osieł nadchodzi — gdy ropuchę zoczył,
By nie zgnieść tę lichotę, nieco w stronę zboczył.
,,Rzućmy kije" — rzekł Janek — ,,tem sie wina zmniejszy;
,,Wstyd nam jednak, że osieł od nas rozumniejszy."

Florentyn Jałowiecki

Podsłuchane gdzie się zdarzy.

(*Przy straganie.*)

WIEŚNIACZKA. A co to Paninemu małemu, że taki krzywy?

STRAGANIARKA. Słaby trochę, bom mu kazała ospę zaszczepić.

WIEŚNIACZKA. Eh! głupstwo te tam szczepienie, co ono dzieciakowi pomoże. Mojemu Jaśkowi dwa razy szczepili, a dla tego umarł.

STRAGANIARKA. Jakto! od szczepienia?

WIEŚNIACZKA. Od szczepienia nie—ale od maszyny co mu rękę z ramieniem urwała. Ale taki zamrzeć musiał Więc cóż!

ZAGADKI.

Bez czego człowiek żyć nie może?

— Bez życia.

Czego dawniej panny uczciwe wstydziły się czytać, a co dziś noszą publicznie na głowie.

— Kocka (autora) i koki (ubiór głowy).

Jacy ludzie najmocniej wierzą, że ziemia obraca się około słońca?

— Pijacy, bo w ich oczach wszystko się kręci.

Czego w żadne pudło zamknąć nie można?

— Światła słonecznego.

Jak napisać pięcio literami sucha trawa?

— Siano.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, ADAM MIECZYŃSKI.